

## REJENT BAND

Marta Bukowska-Mikosz \* / Bartłomiej Celewicz\*\* / Beata d'Obryn\* / Marcin Grabowski \* / Sylwia Jankiewicz\*

**Marta Bukowska-Mikosz (MBM):** Pamiętam, była wiosna, konferencji notarialnej czar... sami wiecie. Siedziałam grzecznie na wykładzie (darujmy sobie temat), wodziłam (tylko nie tępy) wzrokiem po szanownych twarzach moich szanownych kolegów i przytomnie przytakiwałam prowadzącemu. Ciekawe, czy ktoś jeszcze kiedyś pomyśli o scenie, konkursie artystycznym na tej naszej Olimpiadzie... tyle czasu już upłynęło od ostatniego wystawienia krakowskiej reprezentacji. Z rozmyślań wyrwała mnie kiwająca do mnie, uśmiechnięta i uroczą twarz Mariolki Jonczykowej. Zsiadłyśmy się w połowie rzędu: „masz pracę?, nie masz?, dajesz radę? czy tak piszecie?”. Takie tam rejentów rozmowy i pewnie na tym skończyłaby się ta wzajemna adoracja, gdy nagle wzrok nasz przykuła postać świeżo upieczonej wówczas Wiceprezes, która przeciskała się do miejsca, w którym siedzieliśmy. Po jej minie poznać było, że coś wisiało w powietrzu...

**Sylwia Jankiewicz (SJ):** Pamiętam z jaką obawą do Was podchodziłam. „Czy zechcą? Może wyśmieją?” – a co tam!

**MBM:** Przycupnęła przy nas i rozglądając się konspiracyjnie na boki, wypowiedziała

zdanie, które już na zawsze miało odmienić nasze życie: „Chciałabym stworzyć zespół muzyczny, taki prawdziwy, grający na żywo, na prawdziwych instrumentach, ze śpiewaniem na Olimpiadzie, bo tyle czasu już nikt od nas nie występował, i żebyście Wy tam śpiewali”. Przeczytaliście wstęp? Proroctwo myśli! Oczy nam się zaświeciły, własny rodzic nie poznał się na talencie, a taka Prezeska wiedziała. Z radością, z ochotą, z obawą, ale w dym. I tak właśnie zaczęła się nasza przygoda.

**SJ:** Pomysł Czesława Szynalika na konkurs „Śpiewać każdy może” zrodził się podobno w Sankt Petersburgu, a po raz pierwszy został zorganizowany w Mszańce Dolnej na trzeciej Olimpiadzie Notarialnej w 2005 roku. Pomysł podchwyciła Joanna Greguła, która wówczas zorganizowała zespół, odnoszący z roku na rok sukcesy. Wyobrażacie sobie, jak ciężko było dorównać takim poprzednikom?!

**MBM:** Wiedziałam, kto gra i na czym, więc skład zespołu mnie nie zaskoczył, zresztą znaleźliśmy się z „piaskownicy”, notarialnej, ale Prezesce przyświecał cel integracji grup „etnicznych” (młodszych ze starszymi, starszych z młodszymi,

\* Notariusz w Krakowie

\*\* Notariusz w Nowym Sączu

etc.), więc do zespołu dołączyli nowo wyświęceni. Pierwszy skład zespołu: Prezeska, Mariola Jonczyk, Ania Gąsienica, Bartek Celewicz, Tadek Celewicz, Marcin Grabowski, Agnieszka Sielska, Asia Długopolska-Pliszka, Beata d'Obryn, Rafał Tazbir i ja. Pierwsze zadanie: występ w konkursie „Śpiewać każdy może” na Olimpiadzie w Mszanie, czyli na maj, „kruca bomba mało czasu”. Ale z czym wystąpić? Nie mieliśmy skonkretyzowanej formy, rozmowy były burzliwe, każdy miał jakąś ulubioną sferę muzyczną, grupowaliśmy propozycje, na pomysłach nam nie zbywało; wynikiem był łamaniec foniczny: autorski tekst o notariacie, a w zasadzie o ewolucji zawodu, do muzyki z filmu o „Tolku Bananie”, dalej tekst (także autorski) o rejencie, który wchodzi do kancelarii z tłumem na głowie i nie wie, jak pisać wnioski (był to rok innowacji w notariacie) do muzyki „Człowiek z liściem na głowie”, potem piosenka przedwojenna (na pocieszenie, żeby rejent się nie troskał) z filmu „Sportowiec mimo woli”, a na koniec przytyk (do politycznych sporów o prawo) w postaci krótkiego utworu The Beatles *All you need is... law*, czyli prawo jest ważne, nie wolno go łamać nikomu. Kraków, kolebka uniwersyteckiej i artystycznej wyobraźni, ażył tolerancji, klimaty Piwnicy pod Baranami, więc teksty pisaliśmy sami, tzn. pisała Prezeska, my dopisywaliśmy końcówki „ą, ę”. Początkowo próby odbywały się w naszych kancelariach, wszyscy przychodzili, nieobecność tylko z powodu siły wyższej; byliśmy bardzo przejęci; Tadek Celewicz dźwigał swój „fortepian” (syntezator klawiszowy oczywiście), Bartek Celewicz (który już na zawsze został specem od nut) transkrybował nuty na głosy, bądź głosy na

nuty, a że śpiewacy kapryśni, więc miał pracy co nie miara; Bartek Zeman przychodził z piecem do gitary elektrycznej, Marcin Grabowski miał aż dwie gitary akustyczne, Rafał Tazbir przyjeżdżał z „najodleglejszego zakątka świata”, czyli z Kielc.

**SJ:** Strasznie to było naiwne, ale po prostu zaczynaliśmy świetnie się bawić. Jak ja się cieszyłam, gdy Agnieszka Sielska stwierdziła, że właściwie to nie gra już na skrzypcach, ale znowu zacznie! Albo gdy usłyszałam pierwsze brzmienia gitar! I nieśmiało wokale! Była wówczas z nami jeszcze (śpiewająca mocno i dumnie Ania Gąsienica), choć na występie już Jej niestety zabrakło.

**Bartek Celewicz (BC):** Na pierwsze spotkanie też przywiozłem gitarę, akustyczną, jako kierownik muzyczny (wtedy jeszcze tak nie było, ale potem już nadano mi taką funkcję), baczenie obserwowałem zespół pod kątem umiejętności. Opracowałem muzycznie „prymki”, czyli linie melodyczne do wszystkich piosenek (są do dyspozycji nawet dzisiaj i stanowią archiwum zespołu), tekst piosenki do muzyki o Tolku Bananie był strasznie trudny; uczyłem się go idąc na Halę Łabowską tam i z powrotem; w pamięci pozostanie mi też smak kawy i oryginalnych ciasteczek na próbach u Marioli, chyba specjalnie je piekła, byśmy nie stracili rezonu.

**MBM:** Uczyliśmy się tekstów i nut w tramwaju, autobusie, na słuchawkach, w przerwach między czynnościami, odwożąc dzieci na tenisa; moja córka chwilowo zamieszkała z babcią (powiedzmy delikatnie, mój tembr głosu nie był

jej bliski), śpiewaliśmy i graliśmy coraz głośniej i śmielej. Brakowało nam jednak profesjonalnych gadżetów (mikrofonów, wzmacniaczy, kabli podłogowych, ściennych, sufitowych) i obycia z nimi, a co najważniejsze - ze sceną. Bartek Zeman wpadł na pomysł prób w studio nagrań. Udało się zarezerwować pierwszy termin. Studio, hmm, małe, dwupomieszczeniowe, w piwnicy, lekko zatęchłe, szczelnie wytłumione, ale najważniejsze - z urządzeniami do grania i śpiewania. Nie chcę wybiegać w przyszłość, ale zostaliśmy tam na cztery kolejne lata. Olimpiada zbliżała się wielkimi krokami, oprócz ćwiczeń muzyczno-wokalnych sen z powiek spędzał nam sceniczny wizerunek, w perukach, bez peruk, lata trzydzieste, lata sześćdziesiąte, kapelusze, koszulki, spodnie, czy stać blisko, czy daleko i co z chórkami. Nie śmiejecie się, to były wyzwania.

**SJ:** Specjalistkami od wizerunku okazały się oczywiście dziewczyny: Asia Długopolska-Pliszka i Beata d'Obryn, z którymi przemierzyliśmy miliard sklepów, razem lub każda z nas z osobna. Chłopaków ubrać było łatwiej: zawsze chcieli „na czarno”. Był też pomysł na peruczki oraz błękitne okulary (straszne, ale co tam! - nakupiłam ich „ze sto”). Wszyscy wyglądali fantastycznie! Asia, Beata i ja - czyli „zespół choreograficzno-rozpraszający” - dodatkowo na tych koszulkach miał naszyte błyszczące litery: „L”, „A”, „W”.

**MBM:** Występ w Mszańcu... do dzisiaj nie wiem, jak to zrobiliśmy. Wywołali nas, w tle rozbrzmiewał głos Czesława Szynalika: „Izzbaaa Notariaalna z Krakowaaaa”! Mieliśmy do zainstalowania na

scenie instrumenty muzyczne, nie zdążyliśmy tego zrobić, chłopcy nie zdążyli się zgrać, trzymałyśmy się z Mariolą za ręce dodając sobie tym gestem otuchy, Rafał chwilowo gdzieś przepadł, lecz zdążył na występ, ktoś podał sygnał zbyt wcześnie; jeden instrument zaczął, inny nie, my zaczęliśmy... chyba nic nie pasowało do siebie; ze sceny widać było dwupoziomowy tłum, sala wypełniona po brzegi (chyba z „parę setek” rejentów, w tym połowa to nasi znajomi), to był prawdziwy chrzest, lejtmotyw zabawy (jak mi się wydawało) gdzieś mi uleciał, przestraszyłam się, na dodatek wypatrzyłam w tym tłumie minę matki-założycielki - Joanny Greguły. Mina była z gatunku „diabeł ubiera się u Prady” i niepewność moja jeszcze bardziej się spotęgowała, Mariolka przytomnie machała rękami, że będzie jeszcze jeden utwór, a potem jeszcze następny, bo publiczność myślała, że po pierwszym zaśpiewanym to już koniec. Pogubiliśmy się. Występ był chaotyczny.

**SJ:** Ale to nic. Pamiętam, gdy pokazałam w domu jedno z nielicznych zdjęć z występu. Powiedzieli mi wówczas: „Przecudnie wyglądałaś!” – wskazując na... Asię.

**MBM:** Byliśmy jedynym zespołem grającym i śpiewającym na żywo (wszystkie inne z play back-u). Te piosenki były niesamowicie szczerze, ale wprawy nie mieliśmy; dostaliśmy wyróżnienie za to „żywo” i wkład pracy. Dobre i to, ale smutno nam było. Pamiętam, że dopadła mnie wtedy „eklektyczna depresja” z gatunku narodowowyzwoleńczych, że jesteście reprezentacją, że patrzą na nas, że to ich zespół i pokładają nadzieję, żeby był najlepszy i że warto

było dla nas przyjechać. Krytyka wywarła na mnie wpływ, ale nie dałam tego poznać po sobie.

**BC:** Olimpiada jest jednak dużą imprezą, trudno publiczność przekonać od razu, moim zdaniem wszyscy zdali egzamin, bo mimo tremy i potknięć występ wypadł dobrze. Trzeba tu pochwalić wszystkich członków zespołu, staraliśmy się, mimo że nie byliśmy jeszcze ze sobą zgrani i nie mieliśmy razem doświadczenia. Nie myślcie więc, że przeszła nam chęć bycia artystami, o co to, to nie! „*Premiers chats derrière les clôtures*”.

**SJ:**... czyli „Pierwsze koty za płoty”.

**MBM:** Minęły wakacje, każdy z nas miał czas na przemyślenia. Najważniejsze było to, że nikomu nie przyszło do głowy przestać bądź zrezygnować. Prezeska zarządziła spotkanie „pomszańskie” (nazwa ta weszła do terminologii grupy już na dobre, tak jak i wiele innych powiedzonek). Spotkaliśmy się w naszej ulubionej kafejce. Totalne przeobrażenie członków, przekształcenie sposobu widzenia. Zacznę od tego, że zerwaliśmy z wizerunkiem Klubu Inteligencji i pisanie tekstów. Postawiliśmy na to, co tygrysy lubią najbardziej, czyli rock, funky rock...

**SJ:** ... nieśmiało przemycany metal ....

**MBM:** ...jednym słowem zabawa i w ogóle mocne brzmienie. Ku chwale Ojczyzny, a raczej Izby. W końcu młodość lubi się wyszumieć. I doszedł nowy - perkusista Marcin Nowak, jak huknął w gary, to usłyszeli w Mszańcu, pół

roku przed Olimpiadą. Obradowaliśmy, jak, nie wypominając, dzisiejszy sejm; nad ranem wybraliśmy: *The Road to Hell* Chrisa Rea, *I Will Survive* Glorii Gaynor, *Hit the Road* Jacka Raya Charlesa i z grubej rury *Paranoid* z repertuaru Black Sabbath. To była zmiana totalna, repertuar trójwymiarowy. Nasze grające chłopaki w końcu miały pole do popisu, to był ich czas. Zabraliśmy się wszyscy do roboty, przychodziliśmy do wspomnianego już studia jak w zegarku, ćwiczyliśmy po cztery bite godziny na każdej próbie, analizowaliśmy każdy szczegół, dopasowywaliśmy tonacje, przerabialiśmy przejścia, chcieliśmy grać i śpiewać jak w oryginale. Każda próba była przez duże „P”.

**SJ:** „Każdy ćwiczył, był, śpiewał” - jak to łatwo się pisze, a to przecież pomiędzy czynnościami, dziećmi, wnukami, żonami, mężami, chorobami, problemami, odległościami - Bartek Celewicz przyjeżdżał na każdą próbę z Nowego Sącza, na każdą. I pomiędzy zwątpieniami.

**MBM:** Czy ktoś z was słyszał kiedyś w oryginale Głorię Gynor śpiewającą *I will survive*, albo Raya Charlesa z jego aniołkami z piosenki *Hit the Road Jack*, toż to nie wypominając murzyńskie oryginalne brzmienie. Gynor śpiewała tak szybko, że nie byłam w stanie wyłapać na początek żadnego słowa, podobnie jak starego Charlesa; przesłuchiwałyśmy z Mariolą ścieżkę dźwiękową tych utworów w zwolnionym tempie („po waleńsku”, czyli w stylu Dory z filmu „Gdzie jest Nemo”), a rytmu nauczyłyśmy się nawet przy posiłkach. Każdy miał swój pomysł na naukę i ćwiczenia.



Pamiętam, jak weszłam do profesjonalnego studia muzycznego mojego kolegi Krzysztofa. Stałam przy profesjonalnym okrągłym mikrofonie, takim wicie jak z filmów, miałam na uszach słuchawki - jak piosenkarki, artystki, wokalistki, słyszałam w nich muzykę, rady prowadzącego - wolniej, szybciej, jesteś przed muzyką, za muzyką, tu wyżej, tu niżej, ale przede wszystkim słyszałam spokojny, przekonujący głos, że dam radę i że będzie dobrze..., potem to wszystko nagrywaliśmy i mam do dzisiaj swoją własną mini płytę. Na próbach ważne było podejście członków zespołu do siebie nawzajem. Przestaliśmy się krępować, ani muzycy ani wokaliści nie byli profesjonalistami, uczyliśmy się wykonywać utwory z gatunku światowych i wszyscy chcieliśmy temu sprostać, jak mogliśmy najlepiej. Wsparcie było ogromne także ze strony przyjaciół zespołu, przychodzących na próby. To był niesamowity czas, wrażeń, pasji, humoru, także sytuacyjnego.

**SJ:** Obowiązywała główna zasada: zero rozmów o pracy. Zakaz. Nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy użyliśmy pseudonimów: Bart, Diwa, Sielanka, Grabosky, El Mariachi..., potem Marta zaczęła nadawać sobie w danym roku imię z motywu przewodniego wykonywanej przez siebie piosenki, Gloria, Tina, Fiona. Sielanka bardzo się Agnieszce spodobała. Siedziała w studio, zaśluchana (porzuciła już co prawda skrzypce, lecz nie nasze próby) i sypała pomysłami. Szkoda, że Rafał nie dał już rady dojeżdżać.

**MBM:** Drugi występ to już zupełnie inna historia. Odrobiliśmy lekcje, także w zakresie logistyki. Występowaliśmy jako pierwsi na własne życzenie.

Na pewno nie raz widzieliście, jak rozkładają się profesjonalne zespoły muzyczne, sprzęty, kable, światła, mikrofony, miksery, perkusja - ta szczególnie, bo zajmowała całą scenę. Okazało się, że restauracja w Mszanie miała bardzo dobre wyposażenie, sprawdziliśmy to wcześniej, wysyłając forpocztę. Wykorzystaliśmy wszystkie te atuty na maksa, nawet dym, który wydobywał się z jakichś bliżej nieokreślonych dziur pod sceną. Stres był, ale już nie taki jak rok temu. Zapowiadał nas tańczący Czesław, cały na czarno, w przebraniu *à la* „Blues Brothers”. Panowała taka atmosfera wśród członków zespołu, że mogliśmy przenosić góry, my to czuliśmy, ale i było to widoczne podczas występu, jak nam później relacjonowali widzowie. Występ nasz zaskoczył wszystkich, prawdziwy zespół rockowy, gromowładna perkusja z gromowładnym perkusistą, śpiewanie do siebie, błyszczące sukienki, skóry i luz control. Chyba mogę napisać... publiczność szalała, zewsząd otaczały nas telefony komórkowe, każdy coś kręcił albo robił zdjęcia, mieliśmy mocną konkurencję (każda Izba z roku na rok była lepiej przygotowana), nie mogliśmy uwierzyć, ale wygraliśmy, zajęliśmy pierwsze miejsce, zdobywając nasz pierwszy złoty medal. Joanna Greguła tym razem kręciła głową z uznaniem. Chyba się jej podobało.

**BC:** Tak, Olimpiada w 2017 roku to już zupełnie coś innego. Sekcja rytmiczna, czyli „gary”, sekcja instrumentów szarpanych, czyli gitarowcy, oraz klawisze - zsynchronizowały się. Wszystko wyszło niezwykle, nasze Dziewczyny wyglądały jak nie z tego świata, a śpiewem i tańcem robiły furorę. Marta wyszła sama z siebie ze swoim talentem piosenkarskim

i ruszaniem się na scenie, Mariola skrupulantka, dopracowała każdy szczegół stroju i śpiewu. Sala była super i zaplecze także. Duża to zasługa Cześka (mogę tak mówić, bo to mój kolega), który - jak zawsze - stanął na wysokości zadania jako organizator. Znam go od dość dawna, ale dopiero na olimpiadach i na rajdach rejenta zobaczyłem, jaki ma do tego talent.

**MBM:** Radości było co niemiara, wracając autobusem do hotelu cały czas śpiewaliśmy, w hotelu także, zabawa i świętowanie trwało póki rozbawione towarzystwo nie zapadło w sen. Następnego dnia stanęliśmy na podium, tłocząc się i podtrzymując nawzajem, bo miejsca tam dla jednego chłopca tylko, na naszych szyjach (i dekoltach) zawisły „złote medale”. Damy dostały kwiaty od przewodniczącego jury - Krzyśka Maja, a huzary - mocny uścisk dłoni ojców-założycieli. Nasi kibice dziękowali nam, a my im, rozpiełała nas duma. Ale przede wszystkim podziękowaliśmy sobie. Połączyło nas wtedy poczucie przynależności i tożsamości grupowej. I Prezeska z Bartkiem Celewiczem wymyślili nazwę: REJENT BAND

**SJ:** Ułożyliśmy nawet hymn! Zrozumcie, musiałam coś zrobić w tym uzdolnionym towarzystwie, a nie tylko podpierać ściany, robić herbatę w kubkach: „Mąż” oraz „Żona”, i wybuchać z radości niemal po każdym zagranym i zaśpiewanym kawałku...

**BC:** Prezeska sypała pomysłami jak z rękawa, widać: lubi rytm i „mocne uderzenie”, podczas prób stała przy sekcji rytmicznej

i niezmordowanie nas dopingowała, szczególnie do powtórek, aż będzie perfek.

**MBM:** Kolejne sezony w zasadzie rozpoczynały się tak samo. Po wakacjach nasza kafejka witała nas wyremontowaną salą i nowymi smakami kawy. Wybór repertuaru był najtrudniejszy, ta faza zajmowała nam zawsze najwięcej czasu. Ale też, odsłuchując nagranie z występu, nie umknęły naszej uwadze niedociągnięcia techniczne, muzyczne, wokalne, nierozsądnie byłoby tego nie doceniać, przechodziliśmy coś w rodzaju „niepokojów artystycznych”, co świadczyło o naszej metamorfozie. Pozwolę sobie przytoczyć część dyskusji, jaka towarzyszyła nam podczas wybierania utworów na kolejny występ: „1. Dire Straits - *Money for nothing* - jeśli uda nam się zagrać intro przedgitarowe, to super, jeśli nie, to wchodzimy mocno od gitary i znanego wszystkim riffu, czyli coś, co wszyscy znają i lubią, bez jakiegoś kopyta, ale na rozgrzewkę będzie w sam raz; 2. Grace Jones - *Libertango* z filmu „Frantic” - czy mielibyśmy jakąś parę tańczącą tango na parkiecie? Śpiew - Mariola, albo może bardziej ożywiona i co najważniejsze oryginalna wersja tego utworu w wykonaniu Astora Piazzolli?; 3. Następnie tylko krótki przerywnik w postaci wstępu do Nirwany - *Smells like teen spirit*, pierwsze 17 sekund utworu bez śpiewu, do wyciszenia melodii; 4. Tina Turner *Simply the Best* - śpiew Marta - do refrenu włącznie; 5. Na zakończenie coś dla Marcina Nowaka (również do zaśpiewania przez niego) - mocne zakończenie tego, co i tak wszyscy znają: AC piorun DC - *Highway to hell* - i tu już możemy jechać, aż nas wyrzucą. Co najmniej do refrenu... Nasze myśli

kręciły się również wokół: Queen - *We will rock you*; Deep Purple - *Smoke on the water*; Bee Gees - *Stayin' alive*, Alice Cooper - *Poison*. Mocnym kandydatem w pewnym momencie była również Metallica - *Nothing else matters*, ale „spadła”.

SJ: Spadła na chwilę, jak się okazało. Podobnie jak *Poison*. Nie zapomnę Marcina Nowaka: „Co? Czy Wy chcecie żebym TO wyciągnął? Chyba Was połamało”. Prosić go trzeba było długo, to fakt, ale jak już „wyciągnął”, to ciarki przeszły nam po plecach.

Troszkę o nich wszystkich:  
 Marcin Nowak – musiał być cudownym dzieckiem, któremu prawdopodobnie rodzice zamiast bajek Brzechwy czytali książki o ewolucji muzyki rockowej, albo śpiewali rockowe kołysanki; pamiętam jak okazało się, że mógłby wykonać, tak o! - prawie sześćdziesiąt utworów. Bartek Zeman - nasz osobisty Eddie van Hallen. Najbardziej ujmujące w nim było to, że im trudniejszy i podniosły temat, tym skromniejszy był jego wyraz twarzy... kiedy rzeźbił w riffie tej swojej elektrycznej gitary, oj rzeźbił. Marcin Grabowski - początkujący Eric Clapton, skupiony, niewzruszony, maszynka do śpiewu i gry (grał nawet półtonami). Przypomniały mi się opowieści, jak na poprzednich Olimpiadach fanki nie chciały go puścić ze sceny. On miał w ręku gitarę, a one w oczach napis: „Boski-Graboski”. Tadeusz Celewicz - akompaniował Marcie tak, jak ona chciała, a ona śpiewała - jak on chciał, tylko on jeden ogarniał jej tupanie nóżką i wieczne niezadowolenie z wykonywanych przez nią utworów („nie

zaśpiewam, nie zaśpiewam...”, na co należało Jej odpowiedzieć „zaśpiewasz, zaśpiewasz”), to był taki Agent Specjalny, przerywał próby i spokojnym rzeczowym tonem wykladał zasady interpunkcji muzycznej, interwałów, cisów i moli; delektował się graniem, byciem z nami, jak sam powtarzał dla „fanu”; On na pewno będzie protestował, ale my wiedzieliśmy: wykapany Jordan Rudess (pianistyczna nadzieja USA, członek Dream Theater, amerykańskiej grupy muzycznej wykonującej metal progresywny). Tadek pilnie śledził Bartek Celewicz, ze świeżo zakupioną gitarą basową. Bo jak Gary, to i bas... „Nigdy nie grałem na basie” - powiedział kiedyś skromnie, pomimo że gra na wszystkich chyba znanych mi instrumentach (nawet na ukulele, które miałam okazję zaszczytnie dzierżyć w dłoni podczas występu). Nauczył się i zagrał. Proste. Widzę go z nieodłączną gitarą basową i kapeluszem rodem z Nashville. Nasze diwy: Marta i Mariola. Każda z innym, może nawet z prawie biegunowo różnym temperamentem, ale obie wrażliwe na muzykę. Marta była trochę jak takie sceniczne zwierzę. Niby panika - ale tylko do czasu. „Gdy się przełamie - nikt Jej nie złamie”. Na scenie wymiata. Mariola, w wąskiej, błyszczącej, opinającej sylwetkę sukni, jak Gwiazda. Taka prawdziwa, która pomimo wszystkiego i w wszystkich była z nami wówczas na scenie. Bez Niej nic nie byłoby takie samo. Pamiętam, jak nie mogłam przestać uśmiechać się w czasie występu, gdy widziałam zaangażowany Zespół, ich twarze, oczy, ręce, ruchy, a z drugiej strony - Jury, Publiczność i wspierających - Sielankę, „Betty O'Braian”, Asię, Rafała...

**Beata d'Obyrn (BdO):** Jako osoba wspierająca, która nie śpiewa, nie gra, ale po prostu lubi takie klimaty, chciałam wtrącić swoje „trzy grosze”. Ze spostrzeżeń osoby stojącej z boku to refleksja, że ci którzy, oglądają - widzą efekt, ale nie widzą wszystkich starań po drodze; np. kompletowanie zespołu, to dziesiątki telefonów i wizyt, wiadomości mailowych z prośbą o zgłaszanie się do konkursu „Śpiewać Każdy Może”. W roku poprzedzającym nasz pierwszy występ odezwała się tylko jedna osoba - Bartek Celewicz.

**MBM:** Inspirujące, twórcze partnerstwo, prawda?. Każdy wkład był szczególnie istotny, zdecydowaliśmy o miksowaniu utworów, wymienialiśmy się uwagami, dzwoniliśmy do siebie, pisali (przesyłając linki i nagrania), na każdej próbie pracowaliśmy na najwyższych obrotach. Ostatecznie w repertuarze zostały: 1. Metallica - *Nothing else matters*, 2. Dire Straits - *Money for nothing*, 3. Tina Turner - *Simply the Best*, 4. krótki przerywnik w postaci wstępu do Nirvany - *Smells like teen spirit*, oraz 5. AC piorun DC - *Highway to hell*. Ale to nie wszystko, pojęcia dopiero w nas kielkowały, zaczęliśmy zwracać uwagę na nagłośnienie i tzw. odsłuchy, poleganie na przypadku nie wchodziło w grę, wiedzieliśmy już, co to próba nagłośnienia i to, że mamy przygotować scenę; próby nagłośnieniowe dawały nam przedsmak tego co nas czekało. Postanowiliśmy z Mariolą pracować nad Tiną, także wizerunkowo. To nie mógł być cover, Tina Turner musiała być zaprezentowana „*in extenso*” (jak napominał nas Bartek Zeman, żeby nie narazić się jej fanom). Przeglądaliśmy

filmy z jej koncertów. Jakie ona miała kiecki (figurę też), buty, włosy, jak to wszystko odtworzyć. Dociekliwość psychologiczna granicyła niemal z przepowiadaniem przyszłości, chcieliśmy odtworzyć Tinę z całą gamą jej artystycznych środków, a szczególnie ze znakiem rozpoznawczym *Simply*, czyli charakterystycznego tanecznego ruchu Tyny, to było najtrudniejsze i w sumie kumulowało dwa zadania, więc czy same damy radę?

**SJ:** Stroje i choreografia to było wyzwanie!

**MBM:** Jak już wspomniałam, zespół miał swoich przyjaciół. Jednym z nich była Klaudyna - charakteryzatorka filmowa, pracująca także przy przedstawieniach teatralnych i sesjach fotograficznych. Zaoferowała pomoc. I znów aż prosi się napisać, że była to kolejna fantastyczna przygoda w przygodzie. Ruch sceniczny, charakteryzacja, przymierzanie i wybór strojów. Zamiast garniturów codziennego użytku i wymiarowej długości spódnic rodem z poradników o dress code – styl rockmanów, rockowy pazur, rockowe gadzety, skórzane sukienki a'la Versace, frędzle, itp - wszystko razem - wspomnienie młodzięcych lat.

**SJ:** Na choreografię zostało, koniec końców, najmniej czasu. Z Asią i Mariolą spotkaliśmy się przed występem, aż... dwa razy: pierwszy raz u Klaudyny w jej artystycznym atelier, pośród gipsowych odlewów głów, rąk, nóg (wszystkich urwanych i z czerwoną farbą, bo akurat przygotowywała się do planu filmowego jakiegoś horroru), za drugim razem w jakimś studiu fitness w Bronowicach, z którego nawet stróż nocny nie



miał sumienia nas wypędzić... Musiało wystarczyć. No i te stroje, zamawiane i oddawane przez Asię dziesiątki razy *via* Internet, i te buty kupowane w hurtowych ilościach, dodatki...

**MBM:** Na Olimpiadzie czekało nas jednak zaskoczenie, a w zasadzie dwa. Zastanawialiśmy się, czy któryś z zespołów reprezentujących daną Izbę weźmie z nas przykład, ale nic takiego się nie wydarzyło, poza jeszcze lepiej przygotowaną reprezentacją Ukrainy, której sami dalibyśmy chyba z 10 punktów, gdybyśmy byli w Jury. A drugie... zmiana miejsca występu (tym razem tego nie dopilnowaliśmy niestety), a co za tym idzie zmiana samej sceny - było płasko, za blisko publiczności, za mało miejsca na sprzęty odsłuchowe (tych już trochę nachomikowaliśmy) i wystrój... weselny; w tle fantastycznie ucharakteryzowanego i w swoim żywiole perkusisty... firanczka babci Aliny. Czy możecie to sobie wyobrazić? Wprawdzie możliwe jest połączenie ducha sztuki z materią (w tym wypadku z materiałem), ale czy do tego stopnia?? Kto nie widział, nie uwierzy. Pamiętam, że szef kuchni jeszcze przed występem poczęstował nas wspaniałą kiełbasą, tak podobała mu się wspomniana już wyżej próba nagłośnieniowa. Ale ja osobiście dostałam nauczkę. Otóż zapomniałam o najcenniejszej radzie moich wspaniałych profesjonalnych konsultantów (z którymi miałam zaszczyt przebywać i czerpać z ich wiedzy i doświadczenia) - raz ustawionego na tembr i skalę głosu mikrofonu się nie oddaje. I co? Jakiś zgredowaty dźwiękowiec (a niech mu tam, nieświadomie) nie przykręcił bądź pomieszał potencjometry, zorientowałam się za późno, nie było mnie słychać, NIE BYŁO, ani w pierwszej

piosence, w duecie z perkusistą (taka okazja), ani w solowej, do której przygotowywałam się tak żarliwie, pojemność moich płuc (to dzięki paleniu) była na szczęście tak duża, że udźwignęłam zasady brania oddechu między frazami i to mnie uratowało, dodatkową frustracją było potykanie się o kable i możliwość poruszania się tylko w obrębie odsłuchów. Tak więc po tym występie, mogę przytoczyć urocze powiedzonko z filmu „Asterix i Obelix kontra Kleopatra”: „chylę czoło przed narodem egipskim, który zaiste jest wielki”. Co to oznacza? Że nigdy, przenigdy o żadnym już śpiewaku, bądź zespole muzycznym nie powiem, że jest do ... no wiecie. WYGRALIŚMY, po raz drugi z rzędu, naprawdę wygraliśmy, staliśmy znów na tym samym podium (niestety nie zmienili jego rozmiarów, więc tym razem byliśmy tam z Mariolą tylko we dwie); obroniliśmy tytuł i nie było to już bezradne zdziwienie, tak jak rok wcześniej. Wprawiło nas to w stan „wysokiego samozadowolenia”, mówiąc prostym językiem żywiołów.

**SJ:** Wygraliśmy, ale konkurencja była ogromna. Zmarłam, gdy Jury powtórnie głosowało komu przyznać pierwsze miejsce - nam czy Ukrainie. Ale pamiętam też absolutnie żywiołową radość, gdy ogłosili werdykt!

**MBM:** Bawiliśmy się, tańczyli, śpiewali... Nie przypuszczałam, że kilkanaście miesięcy później przyjdzie mi napisać wyraz „ostatni” nasz występ, albowiem tekst ten powstaje w „czasach zarazy”... Zacznę od tego, że na wakacjach nad morzem, razem z grupą znajomych artystów, zainicjowaliśmy

spektakl w plenerze. Odtworzyliśmy w całości piosenkę *The Friends of Mr Cairo* - John & Vangelis, a w tle terkotał stary projektor wyświetlający do tego obraz. Zobaczyłam to potem na filmie i mnie olśniło. A jakby tak na naszym występie, tak właśnie niestandardowo, zmiana stylu itd. Napisałam do Prezeski o moim pomysle, zaraz po powrocie z wakacji. Podchwyciła temat i zakonotowała: może nakręcimy materiał filmowy. Miał on się okazać „czołowym wydarzeniem naszej artystycznej kariery”.

**SJ:** Tak, z racji ograniczeń scenicznych - w drodze kolejnych dyskusji powstał pomysł, powiedzmy to sobie wprost i bez ogródek, szalony. Nakręcimy film, czy jak kto woli teledysk, który zostanie odtworzony na Olimpiadzie, a przy okazji wypromuje naszą lzbę.

**MBM:** Tym razem o repertuarze deliberowaliśmy na corocznym opłatku notariuszy, czyli jak mówi główna organizatorka Beata d'Obyrn, na tzw. Wigilijce. Pozwolę sobie na określenie nas już jako „zdumiewająco dojrzałych” (jak na amatorów) artystów, którzy odkryli własną formę artystyczną i własny styl. Byliśmy zgodni, że nie chcemy być zbyt zinstytucjonalizowani, więc trzeba nam było czegoś nowego. Na dodatek „Grabosky” zakomunikował, że ojcem po raz drugi zostanie i to właśnie w dzień wyznaczony na Olimpiadzie jako dzień konkursu śpiewaczego (ale trzeba mu przyznać, że chłopisko wyliczył w punkt) i jako gitarzysta odpadł, oczywiście chwilowo. A my jak na ironię rozważaliśmy utwory z „naszej poczekalni”, to jest przede wszystkim *Libertango* i *Poison*.

**SJ:** Pamiętam jednak, że „Grabosky” przyjechał na nasz występ, chociaż żeby nas posłuchać, a z kieszeni wystawiła mu buteleczka do karmienia. . . .

**Marcin Grabowski (MG):** Już podczas pierwszej próby w pierwszym roku dostałem telefon od żony, że ją zatrzymali w szpitalu podczas badań, bo to już, już... I żeby szybko przywieźć do szpitala ubrania i ekwipunek porodowy. I w te pędy, ze strachem w oczach, opuściłem końcówkę naszego spotkania, żeby spełnić ojcowski obowiązek. Stres był. A ja sobie pomyślałem: „No ładnie się zaczyna. Jak u Hitchcocka”.

**BC:** Początek jego kariery był rzeczywiście jak u Hitchcocka, ale myślę, że o tych dzieciach to jeszcze wszyscy usłyszymy. Zobaczycie, będą grały w Rejent Band nowej generacji.

**MG:** Dzieci „Graboskyego”... zastanawiam się, czy nie będzie o nich zbyt dużo w jednym tekście, lecz tak rzeczywiście było... Podobne jak dylematów, co wybrać: grę na scenie, czy na boisku w obronie, bo w Mszańcu okazało się, że godziny próby nagłośnieniowej i meczu właśnie się nałożyły...

**SJ:** O Bogowie! Przyszło mi walczyć o „Graboskyego” z ukochaną drużyną piłki nożnej, a „przeciwnika” miałam pierwszej klasy...

**MBM:** A powracając do naszych planów - w końcu udało się nam ustalić ostateczny repertuar: Bonnie Tyler - *I Need a Hero*, Grace Jones - *Libertango* i Alice Cooper - *Poison*. Poprzeczka wysoka. Obserwowaliśmy niebawem skupienie Marioli

na tym trudnym utworze, jakim było *Libertango*. Muzycznie, powstawało jedyne w swoim rodzaju połączenie piana i gitary, całość niebanalna. Na występie Mariola w swojej czerwonej koronkowej sukience wyglądała zjawiskowo. A w zastępstwie „Grabosky’ego” - wystąpiło dziewczę modre, piekielnie uzdolnione gitarowo z dredami na głowie (wypisz wymaluj aplikant notarialny).

**SJ:** Tak, Anetka Szpala to był prawdziwy skarb. Siedziała i „dziergała” na gitarze jakieś zupełnie niestworzone rzeczy. Razem z chłopakami utworzyli „Band” - po prostu „Band”.

**BC:** Anetka była z nami, więc nie mogliśmy nie wygrać.

**MBM:** To był najtrudniejszy chyba repertuar; mieliśmy na pół uformowane pomysły, osobiście ciągle poszukiwałam właściwego brzmienia i notorycznie obarczałam muzyków zmianą rejestru i tonacji (chwała im za anielską cierpliwość); utwory, których słucha się w radio czy na płytach, pisane są pod konkretnego artystę, dostosowywane do skali i barwy jego głosu, dlatego wierne odtworzenie nie ma szans. Tylko perkusista, jak zwykle śpiewał, tak o! Śpiew śpiewem, granie granieniem, ale kręciliśmy film....

**SJ:** Intencją było pokazać, że praca, nawet ta godna, czasem przedłużająca się w nieskończoność - może zatruć duszę (stąd: *Poison*); każdy chce się jednak wyswobodzić (*Libertango*), więc potrzebuje odskoczni, swojego wewnętrznego

Bohatera, który da mu trochę wolności (*I Need a Hero*). Dla nas miała to być właśnie wspólna zabawa i sport na Olimpiadzie Notarialnej, a smocze logo na olimpijskich dresach i filmie zrodziło się z... pewnego naszyjnika, który wielu osobom przypadł do gustu. Do pierwszej części teledysku, kręconego w siedzibie Izby, wymyśliłmy stroje z epoki. Niezawodna Marta przeszukała więc i chwilowo „ograbiała” połowę magazynów Opery Krakowskiej, skąd je wypożyczyliśmy. „Sprzęt ciężki” do kręcenia teledysku wnoszony był na miejsce w środku nocy. No i ogromna praca logistyczna (scenariuszy było trzy tryliony), jak i kogo z kim zgrać, zwłaszcza gdy jeden nie może, drugi trochę się spóźni, trzeci właśnie wpadnie, ale tylko na teraz, czwarty... , uczyliśmy się... tanga. W tym „szaleństwie” miałam wiele szczęścia. Koniec świata nie nastąpił, to najważniejsze. Najbardziej denerwowałam się, że coś pójdzie nie tak i że Was wszystkich zawiodę. Nawet nie chodziło o to, że może źle o mnie pomyślicie (bywa), tylko o to, że nie dam Wam tego, na co tak bardzo zasługiwaliście... moi Artyści. Osobno kręciliśmy część plenerową, która miała przy okazji ukazać, że nasza Izba jest po prostu piękna (i Kraków - bo jest, naprawdę!). I jak wychodzimy już w dresach, ze smoczym logo, kierując się jak gdyby w stronę Olimpiady. Każdemu z nas udało się wyskoczyć pomiędzy czynnościami w kancelariach - jakimś kolejnym cudem - na chwilę, na Kopiec Wandy. Zrobiliśmy ujęcia...

**MBM:** Przygotowania do występu szły pełną parą. Tym razem, w związku z niekończącym się

remontem naszej babuszki Mszany, występ, jak i cała Olimpiada odbywały się w Nowym Targu. Ponieważ nasza zapobiegliwość na okoliczność sceny granicyła już nieomal z obsesją, musieliśmy oczywiście wszystko obadać. Pozwolę sobie przytoczyć część wiadomości mailowej, jaką napisałam i rozesłałam do członków zespołu po owym rekonesansie - dzisiaj nie oddałabym tego lepiej: „ta scena to jakaś dziupla, jamka smoka, wyłożona blachami pomalowanymi na czerwono, wielkości połowy naszej piwnicy, dudni jak w studni, zmieści się perkusja, reszta na śledzia. Na wyposażeniu jest dobry rzutnik-projektor ale „telebimu” czy innego urządzenia do wyświetlenia naszego filmu już nie; już chyba wołałam firaneczki za plecami Marcina. Z dziupli jest „tajemne” przejście, z którego wchodzi się na scenę z tzw. przebiegalni, schody prowadzące tam są wąskie, kręte i bardzo nisko osadzone, trzeba uważać każdorazowo na głowę. Na tę przebiegalnię będzie przeznaczona jedna z drewnianych sal jadalnych (cała w dzwonekach na barany i chomątach); Restauracja nie zapewnia takich wypasów jak: kable, piece, krzeselka, nutniki, lampeczki do nutników (a ciemno tam, oj ciemno) i innych niezbędnych dla muzyków, więc pamiętajcie o tym i pakujcie co może się przydać, czyli pół chałupy (Bartek C. pieca nie zapomnij), może z naszego studia trzeba będzie coś zabrać. Fiona”. Czy ja mogę nieśmiało napisać, że znów wygraliśmy, zdobyliśmy trzeci złoty medal pod rząd; choć wydawało się to kompletnie nierealne, choć publiczność siedziała za stołami ustawionymi na weselną modłę i chociaż tym razem nie trafiłam ze strojem, to miałam swój mikrofon, w końcu ustawiony tylko dla mnie, świetnie wyregulowany,

i mogłam spokojnie udawać Bonnie Tyler... W tle na wyświetlaczu o szumnej nazwie „telebim” razem z nami był nasz film.

**SJ:** „*Qui ne risque rien, n'a rien*” (kto nie ryzykuje, ten nie ma). A my mieliśmy i mamy cudne wspomnienia. Pamiętam wieczór, gdy skończyliśmy kręcić ujęcia w Radzie i we cztery: Mariola, Marta, Anetka i ja - stałyśmy w oknie z widokiem na malowniczy Rynek, Marta zaciągała się papierosem, reszta towarzyszyła „podtrzymując ogień” (jak mówi Tina Chlanda). Któraś z nas powiedziała, że nie zapomni tego do końca życia i że będzie o tym dzieciom opowiadać. Oto jest wygrana.

**MBM:** Napisanie wiarygodnej „biografii” zespołu polega na zebraniu wszystkich wątków i wykorzystaniu ich elementów, tak aby powstała synteza. Podczas tych czterech lat wiele wydarzało się w życiu każdego z członków zespołu z osobna, mam na myśli te smutniejsze chwile, ale tego podczas występów nie było widać. Może kiedyś, ktoś wykorzysta nasze imponujące archiwum (nagrań z prób, nagrań oficjalnych, żartów, powiedzonek, spotkań, ciętych ripost, muzycznych sporów, zdjęć, zabaw, w tym hucznych) i pozwoli mu to na sporządzenie wierniejszego portretu, niż było to możliwe na potrzeby tego przekazu i w takiej publikacji. Po występie coś przebąkiwaliśmy, przy kotlecie, że może już nie będziemy brać udziału w konkursie, że może nas za dużo w tej przestrzeni, że inni, że to, że tamto... Minęły wakacje... Na pocieszenie dodam, że w styczniu i lutym tego roku (tj. 2020,



poz. 5) zaczęliśmy próby do kolejnej edycji, repertuaru z wiadomych względów zdradzić nie mogę, ale takich nas jeszcze nie znaliście. Przerwał nam wirus.

**SJ:** Tadeusz już podchwycił: „Widzisz Sylwia - Marta napisała: „przerwał”.

**BC:** Lubiłem te próby w Krakowie, bo mimo długiego dojazdu można było pograć, pogadać, pobyc z Wami. Było nam razem przyjemnie, to była „odskocznia” od naszych codziennych spraw, problemów i naszej pracy. Nieraz, gdy późno wracałem z prób autostradą do domu, to w uszach huczały mi ostatnie akordy naszych kawałków i ostatnie uderzenia Marcina w „gary”.

**MBM:** *Post Scriptum.* Sylwio, tak tu sobie gadamy i wspominamy. Artyści, jak nas nazwałaś, dziękują i Tobie za te wspólne lata „za nasz krąg zgromadzony wokół pewnego pomysłu na życie, za aprobatę i przyjaźń, szczodrość i inwencję, energię, poczucie humoru, talent, aktywność, za aurę, w której powstała, rozwijała się i trwa do dziś ta amorficzna, a spójna struktura - Zespół. Uruchomiłaś w nas dawno zapomnianą potrzebę bezinteresownej aktywności, która w języku dziecka nazywa się zabawą, a w języku dorosłych „stratą czasu”; byłaś widzem, ale i współtwórcą, stworzyłaś Inny Świat, gdzie wszystko stało się możliwe <sup>1</sup>.

Dziękujemy! „Twoi Artyści”

<sup>1</sup> Joanna Olczak-Ronikier:  
„Piwnica pod Baranami”